Rok XIII. Styczeń 1889. Nr. 1.



Wychodzi we Lwowie z końcem każdego miesiąca. Wk[illegible] roczna z [illegible] wynosi 1 zł. 20 ct. Dla nauczycieli pow[illegible] i [illegible] tylko 70 [illegible] przesyłką [illegible]

MIESIĘCZNIK
galicyjskiego
TOWARZYSTWA OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracya i ekspedycya we Lwowie ulica Teatyńska liczba 23, dokąd też wszystkie przesyłki, wkładki i prenumeraty adresować należy.

Redaktor: Feliks Lewandowski.

PIES
osadnika okolic miasta Silverton.

(Zdarzenie prawdziwe opisane w gazecie „*The Silverton Republican*“)

O jedenaście mil od miasta *Silverton* w Stanie „*Collorado*“, Ameryki północnej, zdarzył się następujący wypadek, dający dowód o przezorności, rozumie i roztropności psów amerykańskich, zwanych z indjańskiego „*Indiana-humo-wanahoha*“ (kudłaty przyjaciel Indian).

Pewien osadnik amerykański, mieszkający w osadzie dość dużej „*Mineral City*“ niedaleko miasta stołecznego *Silverton*, miał psa rasy czystej indjańskiej, pińcza kasztanowatego „*Stoops*“ zwanego, który był tak kochanym i lubianym od rodziny, że na parę minut nie mogli się z nim rozstać. Był to pies, jak cała jego rasa, przezorny, roztropny, rozumny, przemyślny, zwinny, na głód i pragnienie wytrzymały, a co ważniejsza, znany był z tego, że już kilkunastu osadników wyrwał z objęć niechybnej śmierci, popadłych w ręce dzikich Indian, *Ossaga-Huronów*, zawziętych nieprzyjaciół Amerykanów, mających ścisłe przymierze z Anglią. Jeszcze za czasów wojny amerykańskiej tego stulecia Master Emil Wieses był niesłychanym dotąd nieprzyjacielem grzechotników i tępicielem tej prawdziwie strasznej plagi Północnej Ameryki. Od lat 6ciu bowiem codziennie w 3 po-

rach roku, gorącego klimatu Ameryki, zabił ich do 800 sztuk, wyprawjając się codziennie na nich o 4. godzinie rano podczas lata, gdy węże w stanie sennym spoczywają, w kółko zwinięte. Dnia 25. sierpnia, 1886 w dzień cudowny, jaki tylko może istnieć w Północnej Ameryce, ze swym prawdziwym przyjacielem, dobrym szczwawcem tych wężów, swym psem Stoopsem wybrał się Wieses na takie właśnie polowanie, korzystając z tego, li tylko tyle, że z upolowanego grzechotnika wybierał tłuszcz z pod języka, będący najdoskonalszem lekarstwem na suchoty, a który wynalazł najsłynniejszy lekarz amerykański Mec Bazen w Saint Paul w Stanie Minnesota Manitoba.

Od godziny 4. rano do 10. zabił ich do 15 sztuk zapędzając się zapalczywie ze swym przyjacielem, w coraz to głębsze gąszcze dziewiczych puszcz Collorado. Około południa Wieses zmyłił ślad w niezmierzonych puszczach i zbłądził, nie mając sposobu wyjścia z tych strasznych miejsc, pełnych słynnych czarnych wilków, białych szakali, ogromnych niedźwiedzi, a co gorsza wałęsających się jak dzień, tak noc Indian, Ossagów - Huronów, najstraszliwszych nieprzyjaciół i wrogów Republikanów.

Wreszcie na jednej z kaskad skał owych przystanął biedny w rozpaczy osadnik, zawołał psa, a głaszcząc go przemówił jak do człowieka: Stoopsie Ty mój wierny towarzyszu! ratuj, ratuj Twego przyjaciela, bo zginiemy razem, w tych dzikich miejscach z głodu! a w domu płaczą za nami.

Po tych słowach poczciwa psina, rozumiejąc o co chodzi, szastając ogonem, a strzyżąc długiemi kłapciastemi uszkami, lekko kwiląc, biegając to tędy, to owędy, co miało oznaczać wielki kłopot poczciwego pincza Stoopsa, pobiegł w pewnym kierunku a za kilka minut powrócił szastając ogonem, dając tem znać, żeby Pan jego za nim się udał.

Wieses znając niesłychaną roztropność swego przyjaciela, poszedł, ostremi zaroślami przechodząc za psinką, do małej gromadki skał, okrytych gęstą krzewiną. Tam wszedłszy z Stoopsem poznał, że Stoops wyszukał mu schronienie przed Indianami, gdyż musiał się sam udać za wytropieniem śladu, lub ludzi, na wyratowanie swojego kochanego Pana i przyjaciela.

Wieses przekonawszy się że jest w dość bezpiecznem miejscu w strasznych tych puszczach, rzekł do Stoopsa: Idź, przyjacielu, szukaj drogi lub domu i sprowadź tu kogo, prędko, spiesz się, spiesz, kochanku.

Stoops, uradowany bezpieczeństwem swego Pana, kwiląc i węsząc na wszystkie strony noskiem, polizał ręce swego Pana i znikł w gęstych zaroślach.

Biedny osadnik, to siedząc to leżąc na suchych liściach tego od wieków pustego miejsca, czekał godzinę, dwie, trzy, Stoopsa jak niema tak niema. Już i słońce zaszło, a około godziny 6tej, w tych puszczach strasznych, zrobiło się ciemno i głucho. Biednemu osadnikowi różne myśli przychodziły do głowy, ale postanowił czekać, na wyraźny rozkaz swego nieomylnego w tropieniu przyjaciela „Stoopsa".

Wysoko stał księżyc na niebie, oświecając blado tajemniczo-dzikie, odwieczne lasy Północnej Ameryki. Wieses marząc o swej żonie i o dziatkach, słyszał z dala wycie wilków i szakali, głuchy ryk niedźwiedzi, dalekie strzały Ossagów-Huronów, będących pewnie w utarczkach z Republikanami. W tych marzeniach smutnych zdrzymał się.

Naraz słyszy jakby w śnie, cichy szmer po trawie i zaroślach za swem schronieniem; zdawało mu się, że setki grzechotników suną się po trawie i zaroślach do swego nocnego legowiska.

Przetarł oczy a jako wyśmienity myśliwy lasów olbrzymich i dobry znawca ich mieszkańców, umiał rozróżnić najlżejsze poruszenia się trawki i odgadnąć od kogo jest poruszaną.

Nieszczęśliwy osadnik po uprzytomnieniu, poznał od razu, że jest otoczonym przez kilkuset Indian, Ossagów - Huronów, którzy po śladach przyszli na trop, swojego wroga bladej twarzy. Zimny pot oblał czoło młodego osadnika, jęknął z boleści na pewną śmierć okropną, od dzikich i strasznych Ossagów. Pomodliwszy się krótko do Wielkiego stwórcy a poleciwszy w jego ręce swą kochaną żonę i dziatki, poddał się losowi i woli Boga.

Szmer lekki nie ustawał, lasy odwieczne smutnie szumiały; noc była cudowna, księżyc krył się na zachód za olbrzymie początkowe pasma gór Andów, niechcąc być świadkiem okrucieństwa Indian; zdala słychać szczekanie szakali i wycie wilków z płaczem leśnych puszczyków. Wie on co to znaczy. Były to znaki, dawane sobie zewsząd, przez Ossagów, czołgających się na brzuchach, udając dobrze wycie wilków, płacz puszczyków lub szczekanie szakali.

Naraz, aż bory Collorado zagrzmiały, strasznem wyciem kilkuset Indian. Kilkadziesiąt strzałów huknęło, lasy grzmiącem

echem odpowiedziały, a grad kul świszczących przeleciał tuż nad głową osadnika. Indianie wyjąc jak dzikie zwierzęta, krzyczeli „Wej, naha! wej! hoho, wej! (śmierć! śmierć! wrogowi, bladej twarzy, śmierć!). Zrobiło się cicho. Osadnik widząc, że pewnie zginie za parę minut pod nożami strasznych Indian, spróbował jeszcze ratować się przemową, uderzając w słabą stronę serc zatwardziałych Indian. Czystym językiem Indyan głośno z za skał przemówił w te do nich słowa: „Wojownicy wielkiego ducha,. Czy czerwone twarze, wojownicy wielkiego „Neu nosaha„ są zającami. albo też serc kobiecych, że chcą jak wilka, w puszczy szlachetnego „Nossaha-Kataha“ *) wojownika bladych twarzy, zabić. Niech czerwone twarze wiedzą, że duchy wojowników poległych, goszczących w lasach i Preryach „Neu-nossaha“, powstaną i zeszlą na swych słabych wojowników ogień z chmur na ich „wiguwany“! (namioty Ind).

Po przemówieniu osadnika, zrobiło się cicho, trafił doskonale swoją mową do serc Indian; jeden z nich, pewnie wódz podrzędny, tym samym językiem odpowiedział: „Blada twarz szlachetna i wielka! Wielki „Neu-nossaha“ przyjmie go do swego „Wiguwanu“ i uczci go swą „*Satawą*, (fajką przymierza; jest to zwyczaj nadzwyczajnej gościnności i przyjaźni dla uczczenia kogoś w namiotach Indian; jest to starożytny zwyczaj dotąd zachowany u Indian; palenia „Satawy“ używają podczas obrad wojennych w Wiguwanach“ wielkich ich wodzów).

„Blada twarz ma wojownicze serce i mówi prawdę sercu czerwonych wojowników. wielkiego ducha! pokój mu! lecz niech blada twarz wyjdzie i złoży broń ognistą, a wnucy wojownika „Sępa“ Ossagów, zaprowadzą go do „Jego“ wiguwanu. gdzie osądzi dlań, śmierć albo życie“! Po tych słowach, wyszedł z za skał biedny osadnik; kilkunastu Indian rzuciło się na niego, z okrzykiem dzikich wilków, rzemieniami związali go silnie, zarzuciwszy nań dwie pętlice rzemienne „Lasso-kaha“ i prowadzili go z pijanem krzykiem i wyciem pomiędzy sześcioma wojownikami konno jadącymi.

---

*) Wielki duch gór, obrońca Indian, był to biskup angielski rel. episkopalnej, chodzacy po osadach Indian w górach „Collorado,“ podburzając wodzów ich do mordów, przeciw osadnikom Republikanów. Schwytany 1885. w maju przez 16 osadników w „Indian-Terrytory“ przez sąd doraźny Republikański, jako szpieg i buntownik osądzony na śmierć, powieszony w mieście Tauta-Tęé-

Smutny w strasznej rozpaczy za domem i za swem kochanym przyjacielem „Stoopsem“, że przybędzie poczciwa psina z pomocą za późno, niezastając go już w miejscu przez niego wyszukanem. Różne myśli trapiły go, westchnął do Stwórcy pokładając w Nim nadzieję, potem ufając w „Stoopsa“, w jego wielką przezorność, że pewnie wytropi ślad Indian, i wynajdzie swojego Pana. Dzień szarzał, Indianie po drodze pijąc z flaszek skórzanych „Rey-wiskey“ albo „Eloho-Brendey“: (woda ognista) dostarczanych przez podłych Anglików z północnej Kanady, upojeni tym strasznym trunkiem zaprawianym umyślnie siarką krzyczeli, grożąc parę razy rewolwerem biednemu osadnikowi, to znów przepraszali go, prosząc żeby im prawił o wiguwanach, wielkiego ducha „Neu nossaha“.

Cudny blask słońca ozłocił rosę i skały nadbrzeżne maleńkiej rzeczki „Tana-krunu“ dopływu rzeki „Dollorez“ wpadającej do olbrzymiej rzeki „Collorado“.

Słońce było wysoko, paląc płomieniem odkrytą głowę i poranione ciało osadnika, opadnięty przez chmurę much i *Mosquittów* cierpiał wiele, głód i straszne pragnienie trapiło go, potem straszna rozpacz za rodzicami, za żoną i dziatkami, a widząc że prowadzony jest najdzikszemi okolicami „Collorady„ zwątpił o pomocy ludzkiej. Ze strasznego bolu i kalectwa nóg, upadał zemdlały. Indianie widząc, że ofiara zginie im przedwcześnie, nienasyciwszy swej zemsty oskalpowaniem, zatrzymali się na skroju puszczy. Kilkudziesięciu Indian otoczyło plac kołem siadając milczkiem w „kuczki“, reszta dała swemu więźniowi jeść: wody świeżej z rzeki w pobliżu płynącej , rozwiązali ręce, obłożyli ziołami, nie zdejmując stryczków ogromnych z jego szyi, a po trzech godzinach spoczynku udali się dalej w drogę. (C. d. n.)

Zmysł orjentowania się u zwierząt.

Coroczne, celu świadome wędrówki turystów skrzydlatych, z Północy ua Południe przez niebotyczne wały, lodem pokryte góry i przez szerokie przestrzenie morza zniewalają nas do podziwu nad zmysłem orjentowania się i pamiętania okolic u tych wędrowców. Nie chcemy tu jednak mówić o tych wędrówkach od moczarów Północy do greckiego Archipelagu i brzegów Nilu, od nizin Narenty do Zatoki Kuryjskiej, lecz przytoczymy tu niektóre zdarzenia, świadczące o wysokiem prawie niepojętem wykształceniu zmysłów nawet u takich zwierząt, u których wychowanie domowe wielki wywiera wpływ na stępienie tego przyrodzonego daru.

Posiadałem jamnika rasy czystej, szlachetnej, — opowiada słynny przyrodnik i myśliwy Raoul Dombrowski, — którego używałem wyłącznie do polowania na sarny w rozległych rewirach i w gęstych lasach szpilkowych.

Wrodzone jego zdolności wykształcone tresurą i praktycznem doświadczeniem, zrobiły z tego dzielnego, krzywonogiego towarzyszą, mistrza znanego i szanowanego w szerokich kołach myśliwskich pod honorową nazwą „profesora“.

Wyłącznie na sarny i lisy wytresowany, nie zważał on wcale na ślady zająca, tropił on tamte z głośnem szczekaniem i z tą miarą mądrości i wytrwałości, które umiały pokonać chytre zwroty prześladowanej zwierzyny, zmusić ją do opuszczenia ochronnych gąszczów i wypędzić pod strzał myśliwych, Udało mu się to, wtedy machał „profesor“ ogonem na znak zadowowolenia, spozierał po strzelcach wzrokiem rozumnym, jak gdyby chciał powiedzieć: A co! czy nie sprawiłem się gracko!? Gdy strzał chybił odstąpił od dalszego bezcelowego tropienia zwierzyny, i zyzem nie dającym się dokładnie opisać, krytykował „profesor“ z indygnacyą zawstydzonego strzelca.

Szczególną posiadał pamięć miejsca i gdy tropiona zwierzyna przebiła się w bok, a dalsze ściganie nie miało celu, udawał się krzywonogi towarzysz myśliwski zawsze na owe miejsce, gdzie go ze smyczy puszczono i tam tak długo szczekał, aż go ztamtąd wzięto. Przebywał najmilej w stajni końskiej, i żył z jej mieszkańcami na bardzo przyjacielskiej stopie, z powagą przysiadywał na grzbiecie jednego z koni, na który go stajenny wsadzał. Wcześniej nim zdołano dosłyszeć turkot wozu lub tentent kopyt końskich, już „profesor“ oznajmiał domownikom, powrót swego pana.

Trójbarwista kotka domowa, wywieziona o siedm mil drogi z domu w koszu dobrze osłonionym, powróciła nad raniem do swego rodzinnego miejsca, z którego przedtem nigdy się nie wydalala.

Gdy pewnego mglistego wieczora zimowego powracałem na koniu z dalszej wycieczki, zbłądziłem na szerokiej płaszczyznie wskutek ogromnej zamieci śnieżnej tak dalece, że po dwugodzinnej jeździe stanąłem około grupy drzew w pobliżu miejsca wyjazdu, jadąc zamiast prosto do domu, wielkim łukiem w kierunku odwrotnym. Noc była ciemna, śnieg i wiatr wirował okropnie, w miejscowości zupełnie mi nieznanej stanąłem bezradny. Opuściłem cugle i zdałem się na konia, a po półtora godzinnej jeździe, stanął spocony mój rumak przed dworkiem, w którym byłem zakwaterowany.

Kto wśród takiej śnieżycy wskazał koniowi drogę, którą odbył za dnia po raz pierwszy w życiu? Takich wypadków mogą jeźdźcy wiele opowiedzieć, w których tylko koniom zawdzięczyć mogli wydobycie się z przykrego położenia.

Pewien znany jenerał odbywający podróż inspekcyjną wozem własnym, zmylił zupełnie na pusztach węgierskich w nocy kierunek swej jazdy i zmuszony był podróż dalszą zastanowić. Ciekawy sługa jego wyjął z torby mapę wojskową, i zapałkami starał się ją oświetlić. Serdecznie uśmiał się jenerał z dowcipnego pomysłu służącego i zdał

się na zmysł koni, ktore same ruszyły z miejsca, zboczyły pod kątem ostrym i wkrótce stanęły u celu.

Podziwu godnym był następujący wypadek. Miałem psa gończego zaledwie od trzech miesięcy i wybrałem się z nim na polowanie do hrabiego S. o dwie mile drogi, w późnej jesieni i dnia dżdżystego. Pies leżał pod kozłem przykryty od deszczu fartuchem, tak, że odjętą mu była wszelka możność orjentowania się U hrabiego na zamku była nowa psiarnia do której mój pies tak się hałaśliwie dobywał, że go musiano w osobnej zamykać komórce. Po odbytem polowaniu powróciłem nocą do domu, a pies trzymany na rzemyku leżał u nóg moich w głębi wasąga Gdy tylko w domu psa ze smyczy spuściłem, znikł w tej samej minucie bez śladu.

Następnego poranku przybył z zamku hrabiowskiego posłaniec z listem wiodąc uciekiniera na rzemyku. W liście opisał hrabia z humorem przybycie psa mego do zamku w nocy o godzinie drugiej, a gdy ja przybyłem do domu po północy, odbył więc tę drogę w ciągu niespełna dwóch godzin.

Zagadką jest, jak mógł ten pies trafić w śród ciemnej nocy do zamku hrabiego, do którego tam i na powrót wieziony był dobrze ukryty w wozie.

Rozwiązanie tej zagadki pozostawiam tym „panom stworzenia“ którzy o podziwienia godnem wykształceniu zmysłów u zwierząt i ich niedocieczonej działalności wyrażają się pogardliwie i wszystkie w tym względzie czynione badania zbywają stereotypową nazwą „instynkt zwierzęcy“.

Napoleon I. jako przyjaciel zwierząt.

Wódz lub dyplomata oświadczy się bez wahania za wojną, której zawsze towarzyszą nieopisana nędza i tysiączne cierpienia, skoro ją uzna dla dobra państwa i ogółu potrzebną. Chociażby ludzie tacy nie mieli już z natury serca twardego, to przecież ustępuje u nich litość i oszczędzanie życia cudzego konieczności, spowodowanej okolicznościami i wszystko gotowi są poświęcić domniemanemu lub uzasadnionemu dobru państwa.

Także i u Napoleona I., któremu przypisywano serce z marmuru, możemy na podstawie faktów skonstantować różnicę co do jego czynności jako wodza a uczuć człowieka W życiu prywatném okazał się on jako człowiek pełen uczucia i serca tkliwego, a nawet umiał cenić podobne uczucia u drugich. Wśród okropnych scen wojny upominał on w prokłamacyi swoich żołnierzy, aby z nieprzyjacielem po ludzku się obchodzili, podnosząc wyraźnie: „Litość jest pierwszem uczuciem, którą człowiek pielęgnować powinien.“

Tego najszlachetniejszego uczucia domagał się szczególnie od kobiet; kobieta be z litości była dla niego nieznośną, odrażającą, co następująca mała opowieść potwierdza.

Napoleon nie był przyjacielem polowania; wyprawiał jednak niekiedy według dawnego zwyczajn dworskiego okazałe łowy dla podniesienia blasku swego tronu. Na jednem z takich cesarskich polowań w Rambonillet, na którem obecną była także cesarzowa Józefina, skrył się prześladowany przez myśliwych jeleń pod powóz cesarski. To miejsce schronienia stało się dla niego zbawczem, gdyż cesarzowa wzruszona cierpieniem wystraszonego zwierzęcia, prosiła za nim cesarza, aby go ochroniono. Prośbie jej stało się zadość, a dobra cesarzowa dała mu srebrną opaskę na szyję, która ochraniać go miała od dalszych prześladowań i napadów myśliwych.

Jedna z dam dworskich nie okazała pewnego razu przy podobnej sposobności tyle uczucia ludzkości i dała cesarzowi taką odpowiedź, która mu się bardzo nie podobała. Już od kilku godzin polowano w lasku boulońskim; cesarz zbliżył się do powozu cesarzowej i zaczął z ową damą rozmawiać. Książę Newszatelski záraportował cesarzowi, że spędzony jeleń już dłużej uciekać nie może.

„Madame", zapytał cesarz delikatnie damę cesarzowej, co pani sobie życzy, aby z tym jeleniem zrobiono? Składam w ręce pani los jego".

„Niech zrobią z nim, co się im podoba" odrzekła owa dama. „Los jego wcale mnie nie obchodzi."

Cesarz spojrzał na nią zimno, zawrócił konia i oddalił się. Odpowiedź taka oburzyła go, a po powrocie z polowania wyraził się przed ową damą o tej sprawie wcale niepochlebnie.

O łagodnéj i litującej się nad zwierzętami cesarzowej zaś powiedział: „Ja wygrywam wojny, a Józefina zniewala swą dobrocią serca wszystkich."

Oto drugi fakt podobny:

W jednym z pułków wojsk francuskich służył stary trębacz, który również starego konia swego troskliwie pielęgnował. W bitwie nad Dunajem kulą trafiony spadł trębacz z konia. Koń stanął spokojnie, czekając aż długoletni przyjaciel jego podniesie się i wsiędzie na niego. Już zapadał wieczór, gdy koń zniecierpliwiony począł poruszać pana swego nogą i rżeć żałośnie. Przyszli

żołnierze, aby zabrać trupa i pochować. Koń nie dał nikomu przystąpić a nawet jednego żołnierza kopnął. Zołnierz w złości chciał już ciąć konia pałaszem, gdy właśnie przejeżdżał tamtędy Napoleon i powstrzymał zapalczywość zołnierza. Długi czas przypatrywał się koniowi; jak ze spuszoną głową stał nad swoim panem, wreszcie rozkazał, aby go pozostawiono w spokoju i uważano co się dalej stanie. Rano zaraportowano mu: Koń przepędził całą noc stojąc nad swoim panem, przy wschodzie słońca obrócił trupa kilka razy nogą i obwąchiwał go, potem zarżał jeszcze raz żałośnie, pobiegł ku Dunajowi, rzucił się w nurty wody i utonął.

Do jenerała, który mu taki raport zdał powiedział Napoleon: *„Chciałbym wiedzieć, czy ludzie, którzy odmawiają zwierzętom rozumu, jeszcze teraz utrzymywaliby, że one są tylko maszynami bez myśli i czucia. Gdyby koń ten miał być tylko maszyną, to była ona podziwienia godną, a budowniczemu, który ją zrobił, winniśmy najwyższy hołd i uwielbienie.“*

Elektryczność w usługach śmierci.

Wiek 19-ty zasłynął nie tylko wynalazkami narzędzi do uśmiercania jak najwięcej ludzi w jak najkrótszym czasie, lecz stara się także uczynić śmierć jak najprzyjemniejszą Rzeczywiście, uśmiercanie stało się już niejako osobną umiejętnością, podobnie jak hygiena. Wielu uczonych poświęca się tej okrutnej umiejętności, rozumie się w tym jedynie celu, aby śmierci pozbawić cechy okrucieństwa, uchylić wszelkie okropności, i uczynić ją jak najmniej bolesną. Zwrócono więc uwagę na iskrę elektryczną i spodziewają się znaleźć w niej pewny środek do dopięcia swych humanitarnych celów.

Wykonywanie wyroków śmierci za pomocą elektryczności weszło w życie w Stanach Zjednoczonych w Ameryce z początkiem roku nowego. Specyalna komisya pracuje obecnie nad wynalezieniem sposobów najszybszego i najskuteczniejszego działania. Obecnie większość skłania się do przyjęcia silnie zelektryzowanego metalicznego hełmu, do którego doprowadzone będą bieguny: jeden u podstawy czaszki, drugi do kręgosłupa pomiędzy łopatkami. Tym sposobem zabójczy prąd działać będzie natychmiastowo na najwrażliwsze punkta organizmu skazanego

Lecz humanitarność 19-go wieku nie ogranicza się tylko na ludziach, pragnie ona, aby nietylko wyłącznie zbrodniarze, lecz i niewinne a pożyteczne zwierzęta, które w usługach człowieka sterały swe zdrowie, korzystały z dobrodziejstwa iskry elektrycznej.

W rakarni Nowojorskiej odbywa się uśmiercanie psów wskutek rozporządzenia władzy także za pomocą iskry elektrycznej, po przeprowadzeniu licznych eksperymentów przez znakomitych uczonych z przy-

stąpieniem do tego zastępców Towarzystw ochrony zwierząt, a ponieważ rezultaty okazały się bardzo zadowalające, postanowiono zastosować tę metodę i co do koni. Prąd elektryczny połączony jest drutami z ciałem konia i płytą żelazną. Za pomocą młotka, także drutem połączonego, sprawia się połączenie prądów. Jedno uderzenie młotkiem w płytę żelazną, uśmierca konia w jednym momencie, bez widocznego znaku jakiejkolwiek boleści.

Tylko do uśmiercania zwierząt rzeźnych i kolnych, zabijanych na potrzeby ludzkie, nie zastosowano iskry elektrycznej z obawy szkodliwego wpływu na dobroć mięsa.

Na to nie może się jeszcze odważyć humanitarność 19-go wieku. Może wiek następny usunie w tym względzie wszelkie obawy, i stanie się i dla tych zwierząt łaskawszym.

Odwrotna strona polowań.

Na jednem z ostatnich polowań z gończemi w Gödöllö zdarzył się następujący wypadek: Rogacz ścigany godzin kilka z poodbijanemi rogami i strasznie poobdzieraną skórą z wytężeniem ostatka sił dostał się na tor kolejowy i biegł jeszcze czas jakiś wzdłuż szyn. Właśnie zbliżał się pociąg, gdy nadjechało całe towarzystwo z szczwalnią, a biedny umęczony rogacz nie miał już sił do dalszej ucieczki, padł na szyny i został kołami pociągu w kawałki poszarpany.

Na polowaniu dworskiem w Mürzsteg zakończył rogacz swe życie w sposób o wiele tragiczniejszy. W Kilka dni po polowaniu znaleziono rogacza wiszącego za rogi między dwoma młodemi bukami pod stromą skałą. Oto ratując się przed pogonią śmiałym skokiem, wpadł między dwa zrosłe u dołu buki, korpus cały prześliznął się lecz rogi utkwiły między rozsochami i tak wisząc w powietrzu przebył dwa dni i dwie nocy, aż go wreszcie kordelas myśliwski od strasznych męczarń uwolnił.

Głosy przeciw wiwisekcyi.

Rząd duński postanowił otworzyć przy szkole weterynaryjnej w Kopenhadze kilka nowych katedr nauczycielskich, między temi jedną dla fizyologii zwierząt. Wydział finansowy „reichstagu“ oświadczył, że tylko w takim razie zezwoli na środki utrzymania tych katedr, jeżeli rząd wyda ze swej strony wyraźne oświadczenie, że dotyczący nauczyciel żadnych wiwisekcyj przedsiębrać nie śmie, dopokąd badania te postanowieniami prawnemi nie zostaną dokładnie uregulowane; a minister spraw wewnętrznych, Ingerslev, oświadczył na to, że on do tego pojęcia o przyszłem stanowisku wiwisekcyi w zupełności się przyłącza. Ponieważ wydział finansowy składający się z członków najrozmaitszych stronnictw politycznych, powziął powyższą uchwałę jednogłośnie, przeciwnicy wiwisekcyi upatrują w tem, całkiem słusznie, zwycięztwo moralne a potępienie obecnie panującego systemu.

* *
*

Zdanie Dra H. Clarke o wiwisekcyi wypowiedziane na zgromadzeniu naukowem. „Ruch przeciw wiwisekcyi jest niezbędnym krokiem cywilizacyi a bezpośrednim następstwem ruchu przeciw niewolnictwu. Cywilizacya, według jej właściwego pojęcia, jest ciągłem rozszerzaniem współczucia, dopóki toż nie tylko wszystkich ludzi lecz i cały świat zwierzęcy obejmie. Wiwisekcya jest jedynym tolerowanym rodzajem okrucieństwa, i pomimo wielkich roszczeń do niej oświadczam stanowczo, że nauka medycyny w żadnej mierze z niej korzystać nie może. Dzieła fizyologów roją się sprzecznościami i są dla praktyki lekarskiej wcale nie użyteczne. Wiwisekcya jest coś nieprawego i dlatego wszystko co z niej pochodzi jest nieprawdziwem".

Nieco z polemiki.

Pan C. R. użala się w warszawskim „Przyjacielu zwierząt," że z nad aromatycznej Pełtwi, spadł na niego grom, odpowiadający zupełnie cudownym (czytaj cuchnącym) przymiotom, jakie posiada lwowska ta rzeka. Za wzmiankę o znakomitej operacyi, jakie ciało lecznicze wykonało z owcami Pankiejewa w Kachówce,*) spadło na niego tak zwane „lanie" ze strony korenspondenta (czytaj Redakcyi) „Przeglądu weterynarskiego" lwowskiego. Pan C. R. prostuje fakt zaszły w Kachówce w ten sposób, że rozkłada winę także i na współwinnego Dra medycyny Bardacha, który wakcyny tej dostarczył, lecz zaraz zaznacza, że wakcynę tę uznali za dobrą dwaj weterynarze pp Bielinów i Paliejaz i dodaje: Bardzo to piękny objaw solidarności między pp. weterynarzami panującej, w niczem jednak nie osłabiający krzyczącej lekkomyślności i ignorancyi jakiej złożyli dowód operatorowie z Kachówki.

Nie należy się cieszyć ze sporów cudzych, lecz tu musimy przyznać, że nas ta polemika nieco pociesza, albowiem i w Warszawie stwierdzono, że krytyka „Przegl. weterynarskiego" nasiąkła aromatami Pełtwi a raczej „Pasieki", nie mniej aromatycznej od Pełtwi, do której wpada, lecz przedtem przepływa przed oknami redakcyi „Przegl. weterynarskiego." Doświadczyliśmy już podobnego „traktowania" ze strony tej Szan. Redakcyi, lecz gdyśmy odprawy nie zostali dłużni, a nadto zaraz sięgamy po fakta, na których nam tu we Lwowie nie brak, uwolniliśmy się od dalszych nagabywań tak stanowczo, że udzielanie nam Przeglądu zastanowiono, a czytanie Miesięcznika uznano za „crimen."

*) Ob. mieś. N. 11. 1888 str. 168.

KORESPONDENCYE.

Mikuliczyn. (w Grudniu). Już przez 13 dni koń, będący własnością spółki żydowskiej Majera i Mortka Engelsteinów i Rubina Keifera z Mikuliczyna, wypędzony na łąkę pokrytą grubą warstwą śniegu i lodu, pozostawiony został własnemu losowi. Biedne zwierzę chroniąc się od śmierci głodowej wygrzebuje z pod śniegu, podobnie jak to czynią reny, zmarzniętą trawę i dniuje i nocuje pod gołem niebem.

Koń więc opuszczony koczuje na łące pod miastem na mrozie i o głodzie przez kilka tygodni, i ani organa Zwierzchności gminnej, ani żandarm, ani żadna litościwa dusza nie znajdzie się, aby ukrócić męczarnie zwierzęcia; — to smutna!

Natychmiast po otrzymaniu doniesienia, pociągnęliśmy tę szanowną spółkę do odpowiedzialności przed c. k. Starostwo w Nadwórnie.

Rohatyn. Starosta w Rohatynie zawiadomił nas dnia 25. Grudnia z. r. iż stosownie do prośby naszej poczynił odpowiednie zarządzenia, aby oprawca w sposób jak najmniej męczący uskuteczniał zgładzanie psów.

Z nadwórny nie mamy odpowiedzi.

Myśli i zdania.

Seneka mówi o sobie: „Z widowiska zapaśników powracam okrutniejszym i dla tego samego bardziej jeszcze nieludzkim, żem się między ludźmi znajdował“.

O Wiwisekcyi. Kto już raz tak daleko doprowadził, że ulepsza swój rozum kosztem swego serca, temu najświętsze nie jest więcej świętem, ten nie zna ludzkości, nie zna bóstwa, obydwa światy są w jego oczach — niczem. Schiller.

Wiwisekcye są morderstwami, zasłaniającemi się płaszczykiem nauki. Walter Skott.

Ludzkość jest najlepszą polityką. Liebknecht.

Kret słysząc w swej norze śpiew słowika mówi: co to za nierozsądek fruwać i śpiewać. Geibel.

Rozwagę przyrównywa metafizyk do trąby słonia, którą zrywa mocne dębu gałęzie i lekkie źdźbła z ziemi podnosi. Brodziński.

Wątkiem najznakomitszego dzieła wielkiego Tacyta są zbrodnie dzikich zwierząt, które pod mianem Cezarów przerażali spółczesnych swem okrucieństwem.

„Jeżeli dwa wilki spotkają się przypadkowo, jeden drugiego się nie obawia, jeżeli zaś dwóch ludzi zejdzie się w lesie, każdemu z nich pomimowoli nasuwa się myśl, że ma do czynienia z rabusiem“.

„Kto rozdziela potrawy, musi dyć z konieczności albo osłem, albo naiwnym: jeśli wybierze dla siebie najlepszy kąsek — nazwą go naiwnym, gdy zaś wybierze najgorszy — nazwą go osłem.

Robak nadeptany wije się, — człowiek zaś mówi: to mi sprawiło przyjemność.

„Aby być dobrym dziennikarzem“ pisze Laboulaye, „trzeba mieć psią powierzchowność, psie powonienie, psie zuchwalstwo, psią odwagę i psią wierność. Psią powierzchowność, aby przerażać przeciwników; psie powonienie: aby ich poczuć z daleka; zuchwalstwo psie, aby na nich szczekać, niezważając na ich miny ani też na groźby; psią odwagę, ażeby im w razie potrzeby skoczyć na kark; nareszcie psią wierność, aby być zawsze na rozkazy prawdy i nieznać nad sobą innego nad nią pana“. E. Laboulaye.

Rozmaitości.

Pies zbawcą. Niejaki L., syn właściciela dóbr w Prusach, po krótkiej, a ciężkiej chorobie zmarł. Ciało złożono na katafalku i już zabierano się do zamknięcia trumny i wyniesienia jej na cmentarz, gdy nagle do pokoju wpadł pies zmarłego, rzucił się na wieko i jął lizać swego pana, przyczem zadrapał go w policzek. Z rany puściła się krew, a wezwany natychmiast lekarz stwierdził, iż młody człowiek leżał tylko w letargu. Gdyby nie przywiązanie psa, nieszczęśliwy przebudziłby się, ale w grobie.

Ks. Bismark poniósł bolesną stratę. Wierny jego towarzysz od lat wielu opuścił swojego pana; — „Der Reichshund“ — bo ten tytuł przysłużał psu ks. kanclerza, został pochowany w parku kanclerskiego pałacu w Berlinie.

Przeczucie psa. Ścięty niedawno w Paryżu Prado, prosił przed śmiercią dyrektora więzienia, aby ciało jego zaraz po ścięciu pochowano. Nie życzył bowiem sobie, aby lekarze robili eksperymenta na jego trupie. Obiecał mu tę łaskę dyrektor więzienia i dotrzymał słowa. Kiedy na cmentarzu napadli młodsi studenci medycyny na wóz, na którym przywieziono trupa, nie pozwolił dyrektor tknąć zwłok.

Przed gilotynowaniem stała się rzecz szczególna lecz prawdziwa. Na pół godziny przed egzekucyą wyroku, zaczął niedaleko szafotu wyć pies i nie ustał, aż nóż nie zapadł.

Krwawa walka byków. Drugiego dnia świąt Bożego Narodzenia, odbyła się w Kordowie walka byków, której krwawe zakończenie poruszyło całą Hiszpanię. Madryckie dzienniki tak ją opisują: „Byk rzucił się najpierw na „*banderillera*“ Martineza i zadał mu głęboką ranę w szyję Spieszący mu na pomoc *banderiller* Ramos zraniony został w pierś śmiertelnie, a *pikador* Rucio spadł z przebitego na wylot konia tak nieszczęśliwie, że wskutek wstrząśnienia mózgu zaniesiono go bezprzytomnego do domu. Arena została na chwilę pustą, gdyż wszyscy pośpieszyli na ratunek ranionym. Aby uspokoić publiczność, wstąpił „*espada*“ Gueritta, znajdujący się wówczas między widzami, na arenę, i zadał bykowi cios śmiertelny. Martinez umarł tejże nocy, a drudzy, jeżeli żyć będą, nie będą już zdatnymi do walk podobnych.“ Dzienniki wszystkie poświęcają nieszczęśliwym ofiarom **zdziczałości ludu** gorące współczucie.

Bajeczka wilijna. Iwan Turgieniew wymyślił następującą, bardzo ładną bajeczkę: Na dwa lub trzy dni przed świętem Bożego Narodzenia wydał Pan Bóg wspaniałą ucztę w swoim lazurowym pałacu. Zaprosił na nią wszystkie cnoty, ale tylko żeńskie. Nie było tam żadnego mężczyzny, tylko same panie. Zeszło się wiele cnót razem, — wielkie i małe. Małe były milsze i piękniejsze, niż wielkie, a wszystkie znały się wzajemnie i były z sobą zaprzyjaźnione. W tem spostrzegł P. Bóg dwie piękne damy, które zdawały nie znać się zupełnie. Wziął tedy Pan Bóg jedną z nich za rękę, aby ją przedstawić drugiej. „Dobroczynność“ rzekł, wskazując wzrokiem na pierwszą. — „Wdzięczność“ dodał wskazując na drugą. Obydwie cnoty okazały wielkie zdziwienie. Od stworzenia świata dopiero tu po raz pierwszy się spotkały.

Kara za dręczenie zwierząt. W Taylorville w Ameryce Północnej, zasądzono w połowie z.m. weterynarza Hendersona *na 28 lat domu poprawczego*, za dręczenie zwierząt, a mianowicie za to, że podczas zgromadzenia wyborczego, odbytego na wolnem miejscu, pooblewał 44 koni uwiązanych, należących do uczestników mityngu, kwasem siarkowym i olejem krotonowym. Kara ta w Ameryce nie jest uważana za zbyt surową!

Przeciw niewolnictwu. Ks. Karol Landsteiner, były zasłużony rzeczywisty a obecnie honorowy prezes Towarzystwa ochrony zwierząt w Wiedniu, prałat w Nikolsburgu, zawiązał tamże pierwszą filję centralnego Stowarzyszenia w Kolonii przeciw niewolnictwu, i zawiadomił o tem ks. Fryderyka Wrede.

Tak to czynny ochrońca zwierząt jest najpierwszym założycielem pierwszego w Austryi Stowarzyszenia przeciw niewolnictwu.

Szczególny wypadek kolejowy. Przeszłego tygodnia wydarzył się na kolei Południowej koło Semmeringu następujący nadzwyczajny wypadek. Po zamarzniętym stoku góry, pomimo, iż nie było na nim wcale śniegu, spadła kłoda ściętego właśnie drzewa i uderzyła o wagon mijającego wówczas pociągu z taką siłą, że zgruchotała dach, zabiła konia ks. Lichtensteina wartości 2000 guldenów, a koniuszego wyrzuciła z wagonu.

Oddalenie od lasu do linii kolejowej, jakie przebyć musiała ta kłoda, wynosi 600 do 700 metrów.

Aligatory w Łabie. W Lipcu z. r. zdarzyło się w porcie hamburgskim, że 29 aligatorów przywiezionych do słynnej menażeryi światowej Hagenbecka w Hamburgu, przy przenoszeniu ich z okrętu na ląd, uciekło do Łaby. Władze wydały ostry zakaz kąpania się w Łabie dla grożącego niebezpieczeństwa. Dzienniki niemieckie długo wówczas obrabiały tę sprawę; jedni twierdzili, że to jest faktem prawdziwym, drudzy, że to jest kaczką dziennikarską. Dopiero w Listopadzie zamknięto tę sprawę, skazaniem kapitana okrętu za zaniedbanie przepisów ostrożności na 30 marek grzywny.

Do zakazu strzelania gołębi w całem państwie rossyjskiem, o czem wspomnieliśmy w numerze 12. „Miesięcznika“ z 1888 roku, musimy tu dodać, że wielka część zasługi za to rozporządzenie spada na centralne Towarzystwo opieki nad zwierzętami w Petersburgu, które

niezmordowanie się o to upominało a wreszczcie przez ministerstwo wojny w tych usiłowaniach poparte zostało. Według odnośnego rozporządzenia, każdy na sporcie strzelania do gołębi przydybany podpada art. 57 ustawy karnej dla sądów pokoju t. j. winny podlega karze 25 rubli.

HUMORYSTYKA.

Myśliwy niedzielny.

— Panie redaktorze! dziś miałem nadzwyczajne szczęście, oto na jeden strzał padło dwa zające. To musisz Pan wydrukować w swoim dzienniku, to zrobi wrażenie.

— O bardzo chętnie! Nawet z przyjaźni dla Pana, wydrukuję zające r o z s t r z e l o n e m pismem.

Dla czego zwierzęta mają ogony?

Na to pytanie kalendarz Duńczewskiego, wydany we Lwowie w zeszłem stuleciu tak odpowiada: „Oto z prowidencyi wszechmocnej, ile że mają mózg gorący, co się wydaje w świecących pod noc oczach, a przeto dane jest miejsce duchom ożywiającym, aby mogły aż do ogona wychodzić i tam się chłodzić...“

Lekarz zdrojowy.

— Jeżeli pan jesteś lekarzem zdrojowym, czegoż pan siedzisz we Lwowie?

— Ja tylko w lecie jestem lekarzem zdrojowym, w zimie szukam dla siebie pacyentów.

Ze świate dziecięcego.

— Tatku! Dla czego starzy Grecy dawali swoim bogom nazwy psów. Czytam tu w książce ciągle: Juno, Pluto, Diana?

* *
*

— Helu, co wolisz żeby ci bocian przyniósł, braciszka czy siostrzyczkę?

— Małpkę.

Z Savoir vivre'u.

Kiedy na polowaniu niezręczny strzelec wpakuje ci cały nabój śrutu w jaką część ciała, nie jest niezbędnem odpowiedzieć: „Dziękuję! nieskończenie wdzięczny!

Dwuznacznie.

— Panie inspektorze, na podwórzu jest rzeźnik, chciałby widzieć tego wołu.

— Ja zaraz wyjdę.

Z psiej statystyki.

— Wcale nie źle, statystycy wyrachowali, że na 17 ludzi przypada jeden pies.

— Mądrzejby zrobili, gdyby obliczyli, ile też z tych 16 ludzi schodzi na psy.

Nowi Członkowie przybyli:

a). we Lwowie:

Wni: Pilecki Mateusz — Wencek Julian — Christof Jan — Bereżyński Ludwik — Szwejkowski Jan — Łonicki Wiktoryn — Bielski Wincenty — Wajda Kazimierz — Kieszkowski Zygmunt — Haniszewski Jan — Deisenberg Antoni — Nachtschein Aleksander — Komorowski Józef, wszyscy urzędnicy krakowskiego Towarzystwa ubezpieczeń we Lwowie.

b) do Oddziału w Rzeszowie:

Wni: Piotrowski Stanisław nauczyciel — Pistol Adolf geometra - Panna Stachowicz Marynia uczenica, wszyscy w Rzeszowie.

Od Redakcyi.

W *Przyjacielu zwierząt*, organie warszawskiego Towarzystwa opieki nad zwierzętami Nr. 1. czytamy króciutkie pouczenie, jak można w krótkim czasie utuczyć młode gołębie, aby odznaczały się nader delikatnym smakiem.

Raczy Szanowna Redakcya przyjąć tę życzliwą, przyjacielską uwagę, że przynajmniej *Przyjaciel zwierząt* nie powinien rozszerzać takich kulinarnych tajemnic. Ileżto nieopisanych katuszy, długich męczarń znosić muszą zwierzęta dla połechtania podniebienia człowieka; jak n. p. tuczenie gęsi na dużą wątrobę w Strasburgu, przyprawianie za życia drobiu, aby mu nadać fałszywy smak dziczyzny i t. d.

Wiedząc z doświadczenia, do jakich udręczeń doprowadzają podobne źle zrozumiane a jeszcze gorzej zastosowane przepisy, spodziewamy się, że Sz. Red. przyjmie tę uwagę naszą z taką samą intencyą z jaką ją czynimy.

Nekrolog wesoły. Ks. Sarn.... we Lwowie. długoletni członek Tow. dopiero w Styczniu b. r. przy sposobności doręczenia mu **Miesięcznika** przypomniał sobie „że raczej ludzi niż zwierząt ochraniać powinniśmy" i wystąpił z Tow. zapominając uiścić zalegającą wkładkę za pięć lat wstecz, o którą właśnie kolporter go upominał. Jeżeli tak samo popierać zamyśla humanizm w obec ludzi, jak go popierał w obec zwierząt, to zwierzęta nic na tem nie stracą, a ludzie nic nie zyskają.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pod zarządem St. Baylego.